

## Jacek Bartyzel

### UZNAĆ PAŃSTWO?

Zagadnienie stosunku do państwa staje się dziś coraz wyraźniej nie tylko problemem teoretycznym, ale sprawą wymagającą jak najbardziej konkretnego rozstrzygnięcia, od którego uchylić się nie może żaden ośrodek opiniotwórczy zgłaszający pretensje do wpływania na postawy polityczne Polaków. Stoi zatem zagadnienie to i przed zespołem „Polityki Polskiej”, przed jego środowiskiem prezentującym się (i postrzeganym) jako narodowo-niepodległościowe, światopoglądowo – katolickie, politycznie i społecznie – prawicowe. Już z samego powyższego, „etykietalnego” zestawu pojęć wynika pozytywne „propaństwowe” nastawienie naszego ruchu – na poziomie filozofii polityki. I inaczej po prostu być nie może. Prawica anarchistyczna, tradycjonalizm i antypaństwowość – to przecież oksymorony logiczne, sprzeczności nie do pogodzenia. Bez względu na osobiste wybory tradycji szkoły politycznego myślenia i działania, wszyscy zgodni jesteśmy co do tego, że „naród ma prawo jedynie być jako Państwo”<sup>1</sup>. Obce jest nam też pojmowanie państwa jako „machiny” do uciskania jednej klasy przez drugą, a nawet sprowadzanie jego istoty wyłącznie do czynnika władzy. Przeciwnie, odwołujemy się do pojęcia państwa jako dobra wspólnego, ponadpartykularnego, społeczności państwo tworzącej i zorganizowanej hierarchicznie. Upatrujemy w nim wytwór woli Bożej i prawa natury niezbędny dla istnienia samego bytu społecznego, a zatem godny powszechnego szacunku i posłuszeństwa jego prawom, o ile tylko nie sprzeciwiają się one prawu Boskiemu. Postrzegając w instytucji państwa cechę organizmu żyjącego życiem swych członków: osób, rodzin i wszelkiego typu wspólnot, nie zaś bezduszny mechanizm przemocy, nie tracimy zarazem z oczu jej ograniczeń wynikających z faktu, iż państwo mimo Boskiej sankcji swego istnienia należy do porządku przyrodzonego, skażone przeto jest – jak cały ów porządek – grzechem. I to również państwo nazywające siebie chrześcijańskim, takie, które punktem odniesienia dla swego ustawodawstwa i działania czyni etykę Chrystusową. W najbardziej nawet chrześcijańskim państwie pozostaje więc pewien element materialistyczno-pogański i ten właśnie fakt decyduje o tym, że chrześcijanin afirmując państwo jednocześnie tylko do pewnego stopnia może się z nim utożsamiać, tzn. istnieje taka sfera jego jaźni, która nie tylko, że nie podlega jurys-

dykcji państwa (a tą jest oczywiście sumienie), lecz która transcendując ku czystej duchowości, *ad astra*, nie mieści się już w ramach porządku materialno-doczesno-państwowego.

Przypomnienie tych oczywistych pewników naszego myślenia (oczywistych, bo inaczej określenia takie jak „prawica” czy „konserwatyzm” nie mają żadnego sensu) może być tylko tłem i punktem wyjścia dla rozważań już nie tak oczywistych, a prowadzonych wokół problemu niewydumanego, lecz bardzo realnego. Tym „problemem w poszukiwaniu rozwiązania” jest mianowicie pytanie: czy PRL można (resp. czy należy) uznać za państwo polskie? Polskie, a więc „nasze”, naszego narodu, realizujące polski interes narodowy, polską rację stanu. Państwo, z którym wiązać nas może tyleż świadoma afirmacja, co emocjonalna więź, uczucie instynktownej dumy z przynależności do niego.

Zanim wszakże spróbujemy odpowiedzieć na postawione powyżej pytanie, zastrzec wypada, że od tej chwili za wszystkie formułowane tezy odpowiedzialność ponosi wyłącznie ich autor, a pojawiająca się niekiedy forma podawcza „my” ma charakter czysto intencjonalny.

Mając w pamięci rady Konfucjusza zacznijmy nasze wywody od semantyki. Cóż bowiem właściwie znaczy zwrot „uznać państwo” (a także uznać coś „za” państwo – w domyśle: „nasze”)? Pierwsze z możliwych znaczeń słowa „uznać” sugeruje brak wewnętrznego zaangażowania, pasywność, osłabienie aktu woli. Jest to przyjęcie czegoś do wiadomości, bierne pogodzenie się z czymś, albo beznamiętna konstatacja. „Uznać” – czytamy w *Słowniku Języka Polskiego* – to „stwierdzić jakiś stan, fakt” (Warszawa 1985, t. III, s. 642). W tym sensie zatem „uznać państwo” znaczy wyłącznie: przyjąć do wiadomości fakt istnienia PRL, a także okoliczność, że twór ten prezentuje siebie jako państwo polskie. Konsekwencją tegoż uznania jest minimum konformizmu społecznego, polegającego na niekwestionowaniu ustanowionych reguł zachowania, co z kolei chroni (na ogół) przed konfrontacją z aparatem represyjnym państwa.

Nietrudno zauważyć, że podane wyżej znaczenie słowa „uznanie” jest czymś powszechnie respektowanym. Nie przeczy temu nawet istnienie nielegalnych form opozycyjnej aktywności politycznej (a legalnych system jak dotąd nie przewiduje), jako że uznają one (z reguły) i szanują pewne realia tudzież elementarne powinności, takie jak płacenie podatków czy dawanie rekruta. Ktokolwiek przyjmuje dowód osobisty wydany przez urząd państwowy PRL (a czynią to wszyscy), podejmuje pracę w instytucji państwowej lub podlegającej nadzorowi państwa (robią tak prawie wszyscy), chodzi do państwowej szkoły czy utrzymuje jakikolwiek kontakt z rządem lub osobą reprezentującą państwo, ten uznaje państwo w omawianym dotychczas sensie. Alternatywą takiego uznania może być tylko emigracja albo zbrojna (i jawna) walka. Tak szeroka zatem konotacja uniemożliwia sensowne posługiwanie się słowem „uznanie” w podanym wyżej znaczeniu. Można tylko jeszcze zauważyć, że stanowi ono zara-

zem minimum tego, czego każda władza każdego państwa domaga się od obywateli. „Gdy nie chce króla kochać, musi go szanować” – powiada o narodzie Polinik w *Tebaidzie Racine’a*<sup>2</sup>.

Jeżeli zatem roztrząsania nasze mają mieć jakikolwiek bądź walor praktyczny, należy wziąć pod uwagę „aktywistyczne” znaczenie słowa „uznanie”. Cytowany *Słownik Języka Polskiego* wymienia jeszcze dwa rodzaje znaczeń słowa „uznać”, odpowiadające temu, o czym zamierzamy mówić. 1. „Dojść do wniosku, że coś jest słuszne, właściwe, konieczne, obowiązujące; orzec” oraz 2. „Poczytać, wziąć za kogoś, za coś, za jakiegoś, za jakieś” (*tamże*). Nadto, rzeczownikowa forma tego słowa – „uznanie” – wskazuje jeszcze wyraźniej na jego wolitywny i afirmatywny charakter, będąc synonimiczną ze słowami takimi jak: „decyzja, wola, sąd, zdanie, opinia” oraz „szacunek, poważanie, poszanowanie, pochwała” (*tamże*).

Aktywistyczne pojmowanie decyzji „uznania państwa” może przybierać dwojaką, niekoniecznie komplementarną, postać. Po pierwsze, jest owo uznanie poczuciem emocjonalnej więzi z państwem, uznaniem, że to „moje” państwo, a ja jestem jego częścią; czyli owo poczucie identyfikacji jest czymś odruchowym a nie wyrozumowanym. Po wtóre, przybrać może ono postać deklaracji, artykułującej dobitnie uznanie danego państwa „za swoje”. Ta „legitymizacja” państwa (najczęściej również jego ustroju i władzy) może być motywowana różnymi względami. Na ogół powodem uznania państwa za swoje jest przeświadczenie o jego narodowym charakterze, o tym, iż obsługuje ono interes narodowy stanowiącej go społeczności. Może być nim jednak również wiara w to, iż państwo realizuje i ochrania pewien ideał moralny i społeczny (np. ideał monarchii uniwersalnej w średniowieczu lub ideał wolności każdego obywatela w państwach opartych na umowie społecznej), albo zaufanie i przywiązanie do jakiejś tradycyjnej instytucji utożsamianej z państwem (np. do dynastii w monarchii tradycyjnej, legitymistycznej i ponadnarodowej – vide: państwo Habsburgów). Pierwsza, tj. spontaniczno-emocjonalna forma uznania państwa jest właściwie poza zasięgiem dyskusji, bo, w rzeczy samej, albo ktoś się utożsamia albo nie i nie sposób zmienić tego stanu rzeczy argumentacją racjonalną. Pozostaje zatem praktycznie jedynie kwestia deklaracji politycznej, która może (ale też wcale nie musi) być konsekwencją wewnętrznego przeświadczenia, choć na pewno da się o niej powiedzieć tylko tyle, że w sytuacji koncesyjnego modelu życia publicznego stanowi warunek „wejścia do gry”. Dalsze roztrząsania będą przeto próbą przedstawienia argumentów przeciwko uznaniu PRL za państwo w pełnym tego słowa znaczeniu polskie – a więc „nasze”. Za państwo, z którym do końca można by się utożsamiać.

1. Pierwsze zastrzeżenie wynika z faktów natury prawnopolitycznej, czyli, mówiąc wprost, z nieprawości inwestytury tego tworu państwowego powołanego do życia mocą decyzji okupanta, ignorującego istnienie suwerennej Rzeczy-

pospolitej Polskiej i jej legalnych władz oraz wbrew woli niewątpliwej większości narodu. Twór ten nadto, przez cały czas swego istnienia pozbawiony jest faktycznej niezawisłości, aczkolwiek niepodważalny jest również fakt, że formy i zakres ograniczania tej suwerenności od 1956 r. ulegały w zasadzie korzystnym zmianom. Jeżeli przyjmuje się klasyczną definicją państwa, to nieodłącznym jej składnikiem jest przecież pojęcie suwerenności, naturalną natomiast skłonnością serca i umysłu będzie wstrzemięźliwość w uznawaniu niesuwerennego państwa za swoje. Zaznaczyć jedynie wypada, że pojęcie suwerenności nie jest tu rozumiane jako synonim „pochodzenia władzy od narodu”. Nie używa się tu tak często spotykanego argumentu, że „nikt ich (tzn. komunistów) nie wybierał” – co jest zresztą nieprawdą, bo do lokali wyborczych nie idzie się w PRL pod lufami karabinów. To natomiast, że idzie się z oportunistu, nie znaczy jeszcze, że się nie wybiera – nawet jeśli nie ma wyboru.

Autor tego tekstu nie jest zelotą demokracji i nie uważa, by władza państwowa musiała koniecznie (i we wszystkich swoich organach) pochodzić z wyborów. Władza *per se* bierze się przecież – wedle poglądu chrześcijańskiego – z prawa natury, czyli z ustanowienia Bożego, natomiast konkretne formy jej instauracji zależą od epoki, tradycji, warunków geograficznych, panującej ideologii społecznej, modelu kultury politycznej etc. Nie pochodziła z wyboru władza królewska w monarchii tradycyjnej, a nawet w monarchii konstytucyjnej powoływanie rządu (czyli władzy w ścisłym sensie) jest prerogatywą Korony, a nie pochodzącego z wyborów parlamentu. Władza nie musi pochodzić z wyborów ogólnonarodowych. Musi natomiast być zgodna z interesem narodu, interesu tego strzec i wypełniać go. W ten właśnie sposób przejawia się najprawdziwiej (a nie w teorii) suwerenność narodu.

(Na marginesie: mógłby ktoś uczynić zarzut, że pojęcie państwa – i problem stosunku do niego – zawężam do czynnika władzy, będącej przecież tylko jednym z elementów państwa obok terytorium i społeczeństwa. Odpowiem na to, że nie jest moim zamiarem ów redukcjonizm, niemniej jednak nie należy popadać w przeciwną skrajność i w ogóle eliminować pojęcie władzy z zakresu rozważań o państwie. Są to pojęcia o niepokrywającym się zakresie, ale przecież nieodłączne. Redukując pojęcie władzy popada się w błąd logiczny o absurdalnych konsekwencjach. Jeżeli uznamy, że państwo jest nasze, bo kraj jest nasz i społeczeństwo nasze (a tylko władza obca), to w takim razie każde państwo, w jakim przyjdzie żyć narodowi, jest jego, jeśli tylko naród ten nie przestanie być sobą i nie zmieni kraju zamieszkania. Po prostu nie ma wtedy państw „nie-naszych”, bo w jakimś państwie jest się zawsze. Przy powyższym założeniu Priwislinskij Kraj też był nasz, bo kraj się nie zmienił ani społeczeństwo, tylko władza się „wyalienowała”. I Generalna Gubernia również).

Autor niniejszych roztrząsań nie jest także wyznawcą innego dogmatu demokratycznego, mówiącego, że władza jest tylko czymś w rodzaju biura usług

gowego wyłonionego spośród masy obywateli do załatwiania spraw koniecznych, którymi nie chcą sobie zaprzętać głowy pozostali ludzie zajęci swoimi interesami. W europejskiej tradycji zakorzeniona jest przecież także arystotelesowsko-tomistyczna wizja władzy jako czynnika wyodrębnionego od społeczeństwa, reprezentującego wobec narodu zasadę autorytetu obdarzonego sankcją nadprzyrodzoną, ale też i odpowiedzialnego przed najwyższym – Boskim – autorytetem za realizację dobra wspólnoty powierzonej opiece tejże władzy oraz za prowadzenie owej wspólnoty ku spełnieniu metafizycznego celu społeczności ludzkiej. Klóci się to oczywiście z demokratycznym dogmatem o „rządach narodu”, żadna jednak teoria nie zmienia faktu, że naród jako taki jest zawsze rządzący, nigdy zaś rządzący – nawet w najsukrajniejszych demokracjach. Problem natomiast polega na tym, że stan świadomości społecznej może mieć wpływ na stosunek rządzonych do zasady autorytetu władzy, a z drugiej strony na zdolność rozpoznawania przesłanek mogących dawać uzasadnione odczucie realizowania przez władzę interesu społecznego. Russell Kirk<sup>3</sup> zauważa, że „to, czego ludzie rzeczywiście poszukują lub powinni poszukiwać, nie jest prawem do rządzenia, lecz prawem do posiadania dobrych rządzących”. Nie zawsze jednak łatwo jest odnaleźć takie przesłanki. Było to niejako automatyczne w czasach monarchii tradycyjnej. Każdy człowiek rodził się i umierał jako poddany jakiegoś władcy, który swój tron dziedziczył z woli Niebios i z mocy prawa krwi, a jego autorytet poświadczany był sakramentalnym obrzędem namaszczenia olejami świętymi. Ów czynnik autorytetu pomazańca Bożego zakorzenił się tak bardzo, że w istocie swojej przetrwał nawet tam, gdzie monarcha odgrywa dziś rolę nieledwie symboliczną, gdyż mit emanuje na instytucje rzeczywistej władzy. My nie mamy niestety dynastii narodowej, a więc czynnika, który by z natury rzeczy uosabiał zasadę autorytetu. Może więc autorytet ten być potwierdzany wyłącznie rzetelnością w wypełnianiu dobra wspólnego przez rządzących, którym „więcej dano”, a zatem się więcej od nich wymaga. Czy wobec takiego założenia dorzeczne byłoby mówić – po doświadczeniach minionego 40-lecia – o wypełnianiu tego postulatu przez czynnik nieprzerwanie w tym czasie rządzący?

Podnosi się też często i ten argument, że historia dostarcza przykładów (nam Polakom szczególnie obficie) istnienia organizmów państwowych niesuwerennych i z obcej woli poczętych, a jednak przez znaczną, niekiedy przeważającą część społeczeństwa uznanych za własne, a i w historycznej perspektywie ocenianych pozytywnie z punktu widzenia interesu narodowego. Przywołuje się zatem Księstwo Warszawskie, Królestwo Kongresowe (do 1831 r.), autonomiczną Galicję po 1867 r., wreszcie Królestwo Polskie powołane Aktem 5 Listopada 1916 r. Zapomina się jednak przy tym o – mimo wszystko – warunkowym charakterze uznania tych organizmów za własne państwo. Zapomina się, że galicyjscy ziemianie oznajmujący w 1866 r. Franciszkowi Józefowi „Przy

Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy!”<sup>4</sup>, deklarowali tak lojalność Królowi Galicji i Lodomerii, kraju koronnego monarchii Habsburgów, nie zaś austriackiemu interesowi narodowemu.

Zapomina się wreszcie o rzeczy podstawowej. Organizmy państwowe, o których mowa, były wprawdzie za każdym razem instalowane przez czynnik obcy, najczęściej jako wynik kompromisu polskich elit politycznych z zaborcą, nie były jednak instrumentem do ujarzmiania polskich aspiracji narodowych i zawsze oznaczały poprawę położenia części przynajmniej ziem i ludności polskiej. PRL natomiast nie tylko, że został zainstalowany przez obce państwo, ale jako organizm konkurencyjny dla istniejącego, suwerennego państwa polskiego, jako instrument do wywłaszczania Polaków z ich podmiotowych praw politycznych. To państwo miało być formą panowania sowieckiego nad Polską i było pomyślane jako czynnik wrogi polskiemu interesowi narodowemu. I trudno zaprzeczyć by funkcji tej, szczególnie do 1956 r., nie wypełniało; że wskutek różnych okoliczności złowieszcza ta funkcja znacznie osłabła a państwo wrastając w życie społeczeństwa zaczęło siłą rzeczy, z konieczności, obsługiwać w pewnym stopniu i niektóre interesy narodowe, to jeszcze nie powód, by zapominać o celu, jaki przyświecał jego poczęciu.

2. Wskazany powyżej aspekt pozwala sformułować następującą hipotezę: ludzie skłonni są uznawać za swoje takie państwo, które jest materializacją historycznej idei Ojczyzny, przez co rozumie się tu zespół pewnych swoistych wartości cywilizacyjno-kulturowych, charakterystycznych dla danej wspólnoty i stanowiących rozpoznawalną oraz odczuwaną jako własną metodę życia zbiorowego. PRL – jako daleki epifenomen rewolucji bolszewickiej 1917 r., ufundowanej na utopii projektującej wprawdzie stan apañstwowy, ale w rzeczywistości wytwarzającej *sui generis* anty-pañstwo, twór radykalnie różny od wszelkich znanych z historii typów organizacji państwowej – reprezentuje zasadniczo różną metodę życia zbiorowego od tej, którą realizowały wszystkie dotychczasowe formy państwowości polskiej. Różnica ta jest po prostu różnicą cywilizacji. Oczywiście, podkreślmy to raz jeszcze, rzeczywistość odbiega dość daleko od ideologicznego projektu. PRL jest dziś w znacznie większym stopniu „normalnym” (tzn. w języku nowomowy „burżuazyjnym”) państwem, niżby na to zezwalała najbardziej liberalna wykładnia „norm leninowskich”, jednakże ów proces „normalnienia” wciąż jeszcze wydaje się daleki do ukończenia. A przecież właśnie typ organizacji życia zbiorowego, zespół wartości i celów składających się na „ducha praw” pewnej społeczności jest warunkiem identyfikacji z formą, będącą „naczyniem” dla swego „ducha” – państwem. Trafnie zauważył 2500 lat temu Arystoteles, że „jeśli państwo jest pewną wspólnotą obywateli w ramach ustroju, to jeśli ustrój się zmieni co do rodzaju i różnić się będzie od poprzedniego, również i państwo z konieczności nie będzie, jak się zdaje, tym

samym<sup>7</sup>. (Rzecz jasna, pod warunkiem, że przez zmianę ustroju nie będziemy rozumieć jedynie zmiany jego formy, lecz zasadniczą przemianę cywilizacyjną).

Wewnętrzny opór przeciwko uznaniu państwa wyrażającego ducha zupełnie innych od tradycyjnych praw, nie musi w takim razie wcale wypływać z motywacji postmarksistowskiej, dostrzegającej w państwie jedynie represyjny aparat władzy. Dla niemarksisty i tradycjonalisty naprawdę ważny jest ów czynnik etosu cywilizacyjnego, metoda życia zbiorowego, „duch praw” przenikający państwo.

3. W obręb zagadnienia cywilizacyjnego włączyć można charakter ideologii fundującej marksistowskie anty-państwo i odeń nieodłącznej. Aktywne uznanie takiego państwa oznacza akceptację socjalizmu (mniejsza: realnego czy idealnego), zarówno jako systemu politycznego, jak i ekonomicznego. By roztrząsania niniejsze nie stały się nazbyt abstrakcyjne, słusznym będzie skonkretyzować je przywołując taki oto wymowny passus, pochodzący z wydanych ostatnio nakładem Wydziału Kultury KC PZPR *Uwag o aktualnej polityce kulturalnej* Jacka Kajtocha<sup>5</sup>. Ofiarny ów pracownik frontu ideologicznego z pasją „flekuję” innego, bynajmniej nie opozycyjnego, literata, którego „zbrodnią” wobec „ludowego państwa” była... pozytywna recenzja wydawnicza książki podobno „wrogiej”. „Leszek Bugajski<sup>6</sup> jest... pracownikiem etatowym przedsiębiorstwa państwowego o charakterze socjalistycznym. Jego obowiązkiem, gdyż za to bierze od państwa pieniądze, jako kierownika działu krytyki w „Życiu Literackim”, jest pilnowanie interesu partii w podległym mu piśmie (podkr. J.B.), dbanie o rozwój literatury socjalistycznej. Umowę o pracę na kierowniczym stanowisku podpisał dobrowolnie, nie może więc być mowy o jakimkolwiek przymusie” (s. 20). I w zakończeniu tych elukubracji ubolewa p. (tow.?) Kajtoch nad „wstydlwym problemem nie identyfikowania się pewnych odpowiedzialnych pracowników instytucji ideologicznych i kulturalnych z polityką socjalistycznego państwa” (*tamże*, s. 21).

„Polityka Polska” narzuciła sobie (a zaleca innym) wysokie wymagania w zakresie sposobu mówienia o przeciwnikach (jako składowej kultury politycznej). Wymagania te ograniczają niżej podpisanego w daniu upustu określeniom, jakie w najzupełniej uzasadnionych okolicznościach narzucają się człowiekowi o zdrowych instynktach moralnych po przeczytaniu budzących obrzydzenie wynurzeń p. Kajtocha. Nie o prawo do słusznego oburzania się jednak tu idzie, lecz o istotę zjawiska przedstawionego z wyjątkową otwartością: postawienia znaku równości między partią a państwem, między uznaniem państwa a akceptacją socjalistycznej ideologii. To zatem „tamta strona” nie daje żadnych szans porozumienia na gruncie „ideologii państwowej”, mimo szermowania jej hasłami. Tak często słyszany zwrot: „nie ma Polski innej niż Polska socjalistyczna” nie jest rytualnym zaklęciem, lecz wyrazem prawdziwego stanowiska warstwy rządzącej, a jako taki stanowi również ramy kontekstualne dla postaw

patriotycznych. Zwłaszcza dla nurtu prawicowego i katolickiego akceptacja „socjalistycznego państwa” jest niemożliwa ze względów ideowych. Można oczywiście w imię interesu narodowego poszukiwać *modus vivendi* czy nawet formuły kompromisu politycznego z czynnikiem rządzącym, albo uznawać, że zmiana „pryncypiów ustrojowych” przekracza obecne możliwości narodu. Nie zmienia to jednak faktu, że środowisko takie jak nasze jest – pod sankcją tożsamości ideowej (i narodowej) – naprawdę opozycją „antyustrojową” (bo „antysocjalistyczną”), nie zaś opozycją względem aktualnego rządu w normalnym zachodnioeuropejskim tego słowa sensie. Wynika to z faktu, iż ustrój socjalistyczny i państwo stanowią, w przypadku PRL, *iunctim*. Ewentualna zaś ewolucja w kierunku opozycyjności „normalnej” jest po prostu funkcją dezideologizacji, desocjalizacji i odpartyjnienia państwa, co jest równoznaczne z jego „unarodowieniem”.

Jakie praktyczne „dyrektywy” wynikać mogą z powyższych roztrząsań, wywodów i uzasadnień? Oto wstępna próba ich systematyzacji:

1. Z systemu wartości przez nas wyznawanych, zakorzenionych w chrześcijańskiej, katolickiej wizji państwa i społeczeństwa, wynika w sposób oczywisty nasze pozytywne nastawienie do instytucji państwa *per se*, traktowanie go jako wartości samoistnej, a w konkretnej sytuacji aprobata dla tego, co swoiście państwowe w istniejącej dziś organizacji państwowej, chociażby owa swoistość była jedynie cieniutkim marginesem ideologicznej nierzeczywistości. (Pod określeniem „swoiście państwowe” rozumie się tu podstawowe funkcje zewnętrzne i wewnętrzne państwa wypełniającego, poprzez swe instytucje, chociaż częściowo, zadania ochronne wobec obywateli, ich zdrowia, życia i mienia, jak również istnienie atrybutów suwerenności państwowej uznanych przez społeczność międzynarodową). Jest to konsekwencja oczywistego dla wszystkich (z wyjątkiem anarchistów) założenia, że lepsza władza zła od braku władzy. Obowiązki tej tezy ulega zawieszeniu jedynie w przypadku systemów i reżimów eksterminacyjnych i ludobójczych, byłoby jednak kłamstwem twierdzić, że po roku 1956 reżim PRL-owski nosi znamiona ludobójcze. Może to zabrzmieć komuś jak prowokacja, niemniej człowiek wychowany w pojęciach europejskich musi powiedzieć, że lepsze państwo rządzone przez ekipę gen. Jaruzelskiego niż stan apañstwowi i „wojna wszystkich przeciw sobie wszystkim”. (Kwestia sympatii czy antypatii do komunistów jest tu zupełnie nieistotna). Nie sądzimy zatem by – jak to sformułował komunistyczny ongiś, a obecnie bardzo opozycyjny pisarz, Kazimierz Brandys<sup>7</sup> – głównym wrogiem społeczeństwa było dzisiaj państwo. Co więcej, pogląd taki uznajemy za wybitnie szkodliwy, zaś ewentualne zaakceptowanie go przez niezależną opinię publiczną byłoby wręcz nieszczęściem, grożącym faktycznie uwiędnięciem myśli niepodległościowej. Przeciwnie, naczelnym hasłem narodowym winno być dzisiaj to, że walczymy nie z państwem, lecz o państwo. Upowszech-



nienie myślenia kategoriami państwowymi to najpilniejsze zadanie niezależnej publicystyki i propagandy.

2. Przyjmujemy do wiadomości fakt, że PRL jest w obecnych (prawdopodobnie względnie trwałych) warunkach jedynie możliwą, choć wysoce niezadowalającą formą państwowości polskiej. Obecnie przeto jest nam dążenie do rewolucyjnego zniszczenia tej formy, pragniemy natomiast brać udział w poszerzaniu zakresu jej suwerenności zewnętrznej i odmienności cywilizacyjnej wewnętrznej, w przeobrażaniu totalitarnego państwa-partii w autorytatywne państwo narodu. Pojmowanie naszych zadań politycznych jako służby interesowi narodowemu, nie zaś jako walki o miejsce w obozie rządzącym oraz realna ocena położenia międzynarodowej sprawy polskiej, skłaniają nas do szczerego uznania sfery władzy w istniejącym dziś państwie za domenę partii komunistycznej i jej satelitów. Zaznaczyć nadto trzeba, że nasze *désintéressement* wobec sfery władzy nie ulegnie zawieszeniu nawet w sytuacji względnej zmiany stosunku sił między władzą a społeczeństwem na korzyść tego ostatniego (zmiany porównywalnej do Sierpnia '80), która to chwila powinna być wykorzystana do poszerzenia zakresu swobód życia narodowego, nie zaś do podjęcia próby „rewanżu” za Grudzień i obalenia władzy komunistów. Tylko pewność, że rewindykacje społeczeństwa nie przekroczą w takiej sytuacji Rubikonu walki o władzę, może ich skłonić do zawarcia rzeczywistego kompromisu. Kres obowiązywaniu tej zasady mogłaby położyć dopiero zasadnicza zmiana w międzynarodowym położeniu sprawy polskiej (równoznaczna z całkowitą zmianą światowej sytuacji politycznej), otwierająca szansę bezpośredniej walki o niepodległość. Do tego, nieznanego dziś nawet w przybliżeniu, momentu (któremu polityka komunistyczna ma przeciw prawo i możliwość przeciwdziałać, nie ma zatem nic nieuczciwego w wyznaczeniu horyzontu dla naszej „lojalności”), strefa władzy jest poza zasięgiem narodowych aspiracji, co zresztą nie oznacza ani bezdyskusyjności granic i sposobu sprawowania tej władzy, ani uznania jej za wyraz tychże aspiracji. Sprawdzeniem funkcjonowania „historycznego kompromisu” władzy i społeczeństwa może być tylko widoczne zmniejszanie się obecności i kontroli partii w sferach ekonomii, kultury, wychowania i życia społecznego. Po stronie społecznej natomiast, odpowiednią na widoczne postępy w dezideologizacji życia publicznego powinna być gotowość do poszukiwania sfery consensusu z władzą. Trzeba tu jednakowoż zauważyć, że jak na razie owa sfera jest określona wyłącznie negatywnie, tzn. władzę, Kościół, realistyczny odłam opozycji i tzw. milczącą większość łączy tylko jedno: niechęć do rewolucji i obawa przed jej ewentualnymi skutkami, różnie oczywiście motywowane.

3. Jednocześnie, niezależny ruch narodowy i cała patriotyczna opinia publiczna zachowuje prawo do swoistej „*reservatio mentalis*” co do niewyrzekania się myśli o realizacji – w opisanych powyżej okolicznościach – idei pełnej niepodległości państwowej, co stanowi, ni mniej ni więcej, tylko obywatelski

i narodowy obowiązek. Warto przypomnieć w tym miejscu słowa Romana Dmowskiego wypowiedziane przed 80 bez mała laty: „Państwo nie może kontrolować sumień, idei życia politycznego i moralnego. Polak – lojalny obywatel Prus czy Rosji może piastować ideę wyodrębnienia narodowego i niepodległego bytu państwowego. Trzeba ściśle określić do jakich granic można być lojalnym obywatelem państwa” (*Niemcy, Rosja i kwestia polska*).

Nasze współczesne „piastowanie idei niepodległości” jeśli nie ma być rytualnym powtarzaniem zaklęcia mającego świadczyć, że spełziliśmy na pozycje „myśli zaprzecznej”, musi wyrażać się poszukiwaniem już teraz, w warunkach niesuwerennej państwowości, czynników obdarzonych autorytetem pozwalającym uznać je za wyraz i symbol państwa, czynników, których woli podporządkowujemy się tak, jak – w normalnych warunkach – woli władz państwowych. Jedynym czynnikiem dysponującym dziś takim autorytetem jest instytucja prymatury, w której należałoby ujrzyć, nie tylko deklaratywnie, godność interrexu. Wobec każdego zaś „rexa” naród ma pewne obowiązki. Poczuwając się do wypełniania tych obowiązków (a rezygnując z uzurpatorskiego „rozliczania”), in-augurowalibyśmy nader trafnie naszą edukację państwową.

### Przypisy

<sup>1</sup> Cytat (w oryginale: „Wszak każdy naród co innego niż państwo. Naród ma jedynie prawo być jako PAŃSTWO. A państwo zaś jest w stanie pomieścić wszystkich, jakichkolwiek, we wspólnej gminie”) pochodzi z dramatu Stanisława Wyspiańskiego (1869-1907) pt. *Wyzwolenie*.

<sup>2</sup> Jean-Baptiste Racine (1639-1699) – francuski tragediopisarz okresu baroku, członek Akademii Francuskiej, autor m.in. *Andromacha* (1667), komedii *Pieniacze* (1668), *Bereniki* (1670) oraz *Atalii* (1691).

<sup>3</sup> Russell Kirk (1918-1994) – amerykański myśliciel polityczny, jeden z czołowych przedstawicieli myśli konserwatywnej, autor głośnej książki *The Conservative Mind* (1953).

<sup>4</sup> „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy” – tymi słowami zaczynał się adres sejmiku galicyjskiego do cesarza Franciszka Józefa z 10 grudnia 1866 r.

<sup>5</sup> Jacek Kajtoch (1933-) – eseista i krytyk literacki, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego i IBL PAN, w latach 1955-1998 sekretarz literacki pisma „Ruch Literacki”.

<sup>6</sup> Leszek Bugajski (1949-) – publicysta, krytyk literacki, w latach 1981-1989 kierownik działu literackiego „Życia Literackiego”, redaktor naczelny „Twórczości” (1997-1999).

<sup>7</sup> Kazimierz Brandys (1916-2000) – pisarz, eseista, scenarzysta filmowy, wieloletni aktywny członek PZPR, z której wystąpił w 1966 r. protestując przeciwko represjom wobec Leszka Kołakowskiego, w drugiej połowie lat 70-tych zaangażowany w działalność opozycyjną, od 1981 r. przebywający poza krajem, autor m.in. *Matki Królów* (1957).